



WDOWY I GBURY

Powiedzmy to od razu — obie wrześniowe premiery Teatru im. Aleksandra Węgierki: „Gbury” Carla Goldoniego i „Wdowy” Akosa Kertésza nie są jeszcze inauguracją obecnego sezonu, a raczej zamknięciem okresu przejściowego. Nie mówią też zbyt wiele o aktualnych obsadowych możliwościach sceny, ponieważ w obydwu realizacjach nie bierze udziału nikt z siedemnastu nowo pozyskanych aktorów. Ale obydwie, jako akcent repertuarowy, mają pewną cechę wspólną. I klasyczna komedia Goldoniego, i współczesny melodramat węgierskiego autora, Kertésza, to pozycje teatru popularnego, wyraźnie zaadresowane do widowni. Efekt tych dążeń bywa jednak różny. O ich artystycznej skuteczności rozstrzyga w decydującej mierze już nie sama materia utworu, lecz jego kształt sceniczny.

„Gbury” to jedna z tych sztuk Goldoniego, w których nie bardzo już liczy się fabuła, niewymyślna i uproszczona. Zasada intrygi jest jasna — „gbury”, czyli mężczyźni, mężowie przedsiębiorczych weneccjanek, muszą w końcu skapitulować przed ich zręcznością i sprytem. Akcja ma charakter właściwie pretekstowy. Suma zabawnie aranżowanych sytuacji, ale i coś więcej: galeria sportretowanych z dużą spostrzegawczością i inwencją postaci,

dynamiczny, pełen werwy dialog — oto atuty tej komedii. Twórczość jej autora stanowiła przecież swego rodzaju replikę na zbyt już skonwencjonalizowane i skostniałe schematy ówczesnej komedii *dell'arte*. Goldoni przywiązując zasadniczą wagę do pisanego, a nie tylko improwizowanego tekstu, do realizmu potocznej obserwacji, do bogatszej charakterystyki postaci, starał się zreformować włoski teatr. Te usiłowania dały jednak rezultat połowiczny, a sztuki autora „Gburów” zaczęły także dość szybko obrastać w sceniczny stereotyp. Rzecz przy tym znamienne, że współczesne odkrycie Goldoniego zawdzięczamy przede wszystkim Strehlerowi (Piccolo Teatro), który klucza do jego utworów poszukiwał właśnie w tradycji komedii *dell'arte*, wprowadzając do swoich inscenizacji elementy baletu, cyrku, pantomimy. Oczywiście, możliwości jest więcej, ale jedno chyba nie ulega wątpliwości — współczesne prezentowanie na scenie twórczości Goldoniego to, w pierwszym rzędzie, okazja do smacznej, stylowej zabawy teatralnej. Niestety, realizatorzy białostockiej premiery „Gburów” nie wykorzystali zupełnie tej szansy.

Reżyserująca przedstawienie Krystyna Meissner starała się je rozegrać w dobrym tempie, ostro rysując obraz sytuacji i postaci, nie zapominając też o obyczajowym kolorystyce przedstawionej epoki. Jednakże wykonawcy zawiedli niemal na całej linii. Nieporadność w geście, ruchu, przekazie dialogu, całkowita nieumiejętność kreowania na scenie klimatu autentycznej zabawy — to grzechy główne większości aktorów. Negatywnie wyróżniali się zwłaszcza odtwórcy męskich ról. Z całego zespołu na uwagę zasługiwały jedynie dwie osoby — Irena Kulicka (Felicja), najbardziej stylowa i czysta w ekspresji, i Helena Wiźko, grająca rolę Małgorzaty nie bez wdzięku i temperamentu scenicznego. To jednak zdecydowanie za mało, żeby uratować cały spektakl.

Krystyna Meissner sprawnie wyreżyserowała dotychczas już niejedną komedię, ale w tym przypadku okazała się dość bezradna wobec możliwości warsztatowych, jakie zademonstrowała przeważająca część zespołu. Mało dowcipny przekład Jerzego Jędrzejewicza, zbyt ciężkie i ciemne w tonacji dekoracje Krzysztofa Pankiewicza oraz nie najefektowniejsze kostiumy Pawła Adamskiego nie ułatwiły także zadania inscenizatorce. Wszystko to sprawiło, że realizacja „Gburów” pozostała przedsięwzięciem scenicznie martwym.

Na szczęście bardziej optymistyczne refleksje budzi druga premiera Teatru, wystawiony na małej scenie spektakl „Wdowy” Akosa Kertésza. Jest to współczesny pisarz węgierski, znany przede wszystkim z opublikowanej w roku 1971 powieści „Makra”, która zdobyła ogromny rezonans czytelniczy, sprowokowała też burzliwe dyskusje o tragicznej kreacji bohatera. Ta najgłośniejsza powieść Kertésza została z powodzeniem przeniesiona na ekran — i na scenę. „Wdowy” to bardzo kameralny dramat tego autora, będący swego rodzaju studium osobowości czterech kobiet (w tym matki), szukających prawdy o najbliższym

im człowieku, znanym aktorze, który zginął w wypadku samochodowym. Każda z nich inaczej go zapamiętała, każda ma odmienną, własną wizję Kornela. Przecinające się ostro relacje o nieobecnym tworzą swoisty system luster, w których przeglądają się postacie samych bohaterek. Jest to również, a może przede wszystkim, prawda o nich — o ich egoizmie, miłości, samotności.

Dramat Kertésza nie jest najwyższego lotu, ale ma niezaprzeczalne walory sceniczne — pewną migotliwość znaczeń, dość ciekawie zarysowaną warstwę obserwacji psychologiczno-moralnych. Zegalski celowo położył nacisk na ten właśnie aspekt utworu. Potraktował sztukę bez nadmiernego pietyzmu, radykalnie oczyścił ją z gatliwości, z nadmiernie melodramatycznych akcentów i zbyt natrętnych dopowiedzeń w ostatnim akcie, uzyskując w ten sposób zwartą, dramatycznie żywą wersję tekstu. Prawda o nieobecnym pozostaje — w zamyśle reżyzerskim — niejednoznaczna. Pytania kochających Kornela kobiet nie znajdują definitywnej odpowiedzi. Dzięki temu rzecz przestaje być płaska.

Zegalski poprowadził spektakl w sposób taktowny i stonowany (oszczędna scenografia Anny Rachel-Koenig), skupiając uwagę na możliwie najcelniejszej aktorsko interpretacji utworu. Cały wysiłek reżyzerski poszedł w tym kierunku, aby portrety bohaterek były dostatecznie wyraziste i zróżnicowane psychologicznie. Tekst daje pod tym względem możliwości duże, stanowi dla czterech aktorek partyturę bogatą i frapującą. W białostockim przedstawieniu „Wdów” nie ma ról o szczególniejszych walorach, ale są role przygotowane starannie, z profesjonalną świadomością.

Maria Chodecka (Mama) trafnie i z umiarem narysowała sylwetkę kobiety starszej, o mentalności typowo mieszczańskiej, broniącej się przed prawdą konwenansem, a jednocześnie dręczonej poczuciem samotności. Barbara Jakubowska (Hanna) dosyć konsekwentnie budowała osobowość neurotyczki, która pozorując gładkie i opanowane reakcje, w istocie szuka rozpaczliwie wyjścia ze stanu wewnętrznej dezintegracji i depresji. Danuta Rymarska (Anna) sportretowała przekonująco inny, charakterystyczny typ kobiety — egoistki, życiowo sprytnej, samodzielnej i agresywnej, z gatunku tych, które kupują sobie partnera. Wreszcie Danuta Kierkła zagrała rolę Róży w sposób świadomie nieefektywny, ale za to w pełni uwierzytelniony psychologicznie. Aktorski bilans spektaklu jest więc korzystny.

Premiera „Wdów” pozwala sądzić, że białostocką scenę stać już na przedstawienia rzetelne. Wydatne wzmocnienie zespołu otworzy w tym sezonie przed teatrem szansę równania w górę. Z zainteresowaniem i uwagą czekam więc na najbliższą premierę „Generała Barcza”.

Jerzy Bajdor